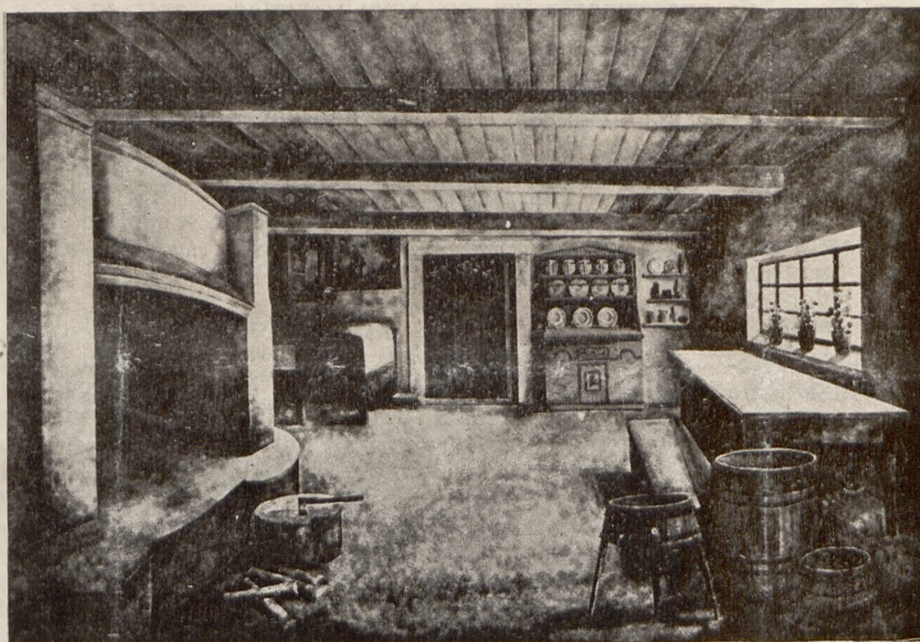
ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VII POZNAŃ WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK 1937 NR 9-10 (71-72)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

Stanisław Bogdan Wojewódzki:



„WNĘTRZE IZBY KUJAWSKIEJ"

Władysław Marcinkowski:

„CHAŁUPA"

(GAWĘDA KUJAWSKA)

Nie roz sie słyszy, że Kujawy to tako sobie nudno łokolica, że to nima ani ładnech widoków ani żodnygo urozmaicynio. Że niby nie działajom one tak na usposobinie człowieka jak insze łokolice; naprzykłod jak Karpaty, czy Białowieskie puszcze, abo choćby już nieprzymirzajonc jak te nasze błota poleskie...

Co do mnie, to musze przyznać, że chocioż znom już nie jedno, skrabołem sie na Giewmont, kompołem sie w Bałtyku, błondziłem (jako pruski Landsturmista) po różnech puszczach, brodziłem po bachorzach i błotach, biedoliłem sie po różnych lasach i kniejach, a jednak, nad te wszystkie śliczności, wole... swoje... Kujawy!

Jak jeno nadarzy my sie sposobność i czas pozwoli, to,... całymy dniamy rod bym sie wsłuchywoł w tyn poszum falującygo żyta, w to ciche pozwonianie dojżywajoncyj sie pszynicy, abo tyż w te tak czysto po chłopsku ochrypłe wołanie derkaczy po łonkach.

A już nadewszystko, to z całech tech Kujow upodobołem sobie jednom starom chałupe... Chocioż i łóna coprowda niczym nadzwyczajnym sie niewyróżnio, bo stoi tak sobie jak wszystkie folwarczne

chałupy na Kujawach. Tak samo jes ta sobie troche umorusano, ździebko już od starości pochyło, przysiadła sie do zimi jak staro baba w bruździe a jednak, musze sie przyznać, że jo jom kochom

...Nieroz, to jom widze jakby świadomie, to znowy śni my się o nij, to myśle, marze o nij, tak jak o nojlepszy przyjaciółce. A jak my się zdarzy tamtendy przeiżdżać kolejom (przez Inowrocłow do Poznania) to jeszcze my sie nigdy nie zdarzyło, żebym się do nij nie uśmichnył... A i łona tak samo zdaje sie mnie lubić. Za każdom razom, to jakby z nij, coś domnie wołało, jakby chciała na mnie mrugać czy kiwać, tak że czasem to sobie nawet pomyśle, czy ta staro chałupa mnie aby nieoczarowała...

...Hm, doprowdy, że śmioć my sie chce, bo czym by ona mnie tyż mogła oczarować...

A jednak tak zawdy na niom patrze tak jej sie przyglondom tak tenschnie za niom jakby za siostrom czy matkom rodzonom.

...Czy ona jeszcze tam stoi na środku wsi?... Czy tymy samymy oknamy patrzy na droge?... Czy jeszcze mo tyn som kumin, troche skrzywiony na bakier i czy tak jeszcze dymi tym swoim przykrym torfowym dymem?... Na każdy roz jedno i to samo pytanie wirci my w mózgu.

A za każdom razom jak jom zobocze i widze że stoi dziś tak samo jak stojała kiedyś przed laty to cieszę sie jak dzieciok. Bo ona zawsze ta sama, dzisiej może już troche wiency pochylono, bardzi zapadninto w zimie, ale zawdy uśmichniento do mnie przyjaźnie... A jednak, ostatni roz to widziołem jom jakby odmłodniałom, ściany miała biołym wopnem wybilone, dach wyprostowany, a kumin świżo podmurowany. Jak to zoboczyłem, to som niewim czymu, ale przykro my sie zrobiło...

Dziw to zresztom i niedziw... Przecie jeszcze dziś czuje jak z tyj chałupy jak z za jakiś przyćmiony firanki nachodzom mnie nieroz jakby takie mgłom osłoniente wspomnienia... Może to dlo tego, że tu z za jej proga postawiłem pirwszy niezgrabny krok i o włosny mocy wyszedem na świat Boży, może że tu doznowołem pirszych brzasków ludzkij świadomości, że tu po roz pirszy usłyszołem to jedne mocne nigdy niezaboczone słowo — Kujawy! Tu z progu tyj chaty patrzołem na pola na łąki na zboża na wirzby... a wszystko to było, — Kujawy!... A Kujawy to przecie Polska!

...Kiedy pirszy roz to słowo — Polska usłyszołem to niewim. Czy to przyszło tak samo ze siebie czy chtoś my to powiedzioł... ale doskonale pamientom, kiedym po roz pirszy zoboczył — mimca!... Pamientom, że jechoł na siwym koniu, mioł śpiczostom czapke a tak mu sie świciła jak koczorowi pióra na łbie; guziki, same świconce siubry*) i długi pałasz przy boku. Przez długi czas, to inaczy mimca sobie niewyobrożołem jak w duży czopce z czubojem, z błyszczoncymy na zielonkowy katanie siubramy i długim pałaszem. A kiedym roz późni zoboczył chłopa obleczonygo tak jak człowiek i powiedzieli my że to tyż jest mimiec, to wydziwić sie nimógem, że to mimcy tyż tak chodzić mogom jak ludzie.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

W tyj chałupie działo sie nieroz coś dziwnygo... Pamientom, że roz na wieczór już po kolacji, matka zamiost pościelić łóżka, zaczyna zamiotać i sprzątać. Zdziwiłem sie tymu, bo zamiost małygo świotka, zapoliła dużom lampe z celindrem — niby te od świenta. Stół nakryła biołym obrusem, położyła na nim bochen chleba, przy nim postawiła flaszke z wódkom i duży kusy kieliszek. Nos dzieciokow pozgoniała do kątów, bo od kumina szły na chałupe jakieś niedzielniejsze zapachy, — niewiem, czy od smarzony okrasy czy tyż jajówki... Ciekawy byłem co to z tego bydzie, bo wszyscy tak jakoś na kogoś czekali, a tu naroz łotwirajom sie drzwi i wchodzi dwuch chłopów. Ale powiadom co to były za chłopy: jedyn był starszy, drugi młodszy ale wystrojone, że jaz strach... W długich czamarkach, na niech przepasane przez lewe ramie, biołe stążeczkamy przystrojone renczniki, a w rękach trzymali kwiotki i duże czerwone chustki; a z niech zwiszały sie długie rzyminne kańczugi. Zaczonym płakać, bo chłopy były zgroźne a te baciska w ręcach tak im sie dziwnie ruchały, winc dostołem strach; ale matka zaroz mnie umitygowała. Chłopy, jednak nie zabirali sie do bicio, jeno zaroz od progu pokłonili sie do samyj zimi, a tyn starszy zaczon coś godać. Niby to śpiwoł niby godoł, — a co rusz, to sie łoba kłaniali, a skończył to pochwolili Pana Boga i zaroz usiedli przy ojcu za stołem.

Jo jednak, że to byłem przestraszony schowołem sie w najcimniejszy kont. Musiołem tam pociesznie wyglondać, bo sie wszyscy nademnom litowali, a matka wzina mnie na renke i kozała my sie im przyglondać.

— Nie bój sie, mówiła, uni ci nic nie zrobiom... to drużby.. przyśli nos prosić na wesele... Tuliłem sie do nij a ona jeszcze bardzij mnie pieściła: Jak urośniesz duży, to tysz sie tak ustroisz, i bydziesz ludzi na wesele zaproszoł.

— — — — — — — — —

Wesele, wesele!... Przez pore dni o niczym nie mówili jeno o weselu... Do nos schodziły sie kobity, coś przymierzały, szyły, prasowały, a ciągiem jeno o weselu godały... O weselu godali chłopy, chłopoki, dziewuchy, dziecioki... a nawet i jo som, chocioż niewiedziołem co to jes ta, ale klaskołem w rence i cieszyłem sie na to wesele!...

Jak tu sie nie było cieszyć, kiedy u Ojczynaszów (naprzeciwko naszygo łokna) zabijali świnie... Widziołym jednygo dużygo tucznika co wisioł w sini na balce, śtyry mniejsze proszczoki z poderznintymy gordzielamy leżały rzędem pod ścianom na ławie już wybebeszone, a przy niech całe kupy już oskubanych, z pokrwawionymy łbamy kaczek i kurów... a zopach świżygo chleba i placków, to jaż nos przez okno zalatywoł.

A... żebyśta widzieli co sie robiło w samom niedziele?!... U nos skoro świt, to już wszyscy byli na nogach. Matka i Stasia krzątały sie przy oprzencie. Stasia poleciała do obory wydoić krowy, a matka lotała z chliwa do domu i z domu do chliwa a tak sie obie ugoniały, jaż łociec sie śmioł że tak sie spieszom jak do łognia!...

Bo łociec to sie tam babskim gospodarstwym nie interesowoł. Jak żem sie obudził, to on już sie golił, a Jaśku wiksowoł mu buty... Ale bo tyn Jaśku to nojpirszy swoje wesele oberwoł. Zaroz polecioł do Ojczynaszów i niedługo już był nazot z kawołem placka w ręku. Zaczonym płakać i wołać na niego żeby my tyż doł, ale on nic jeno som żarł... Dopiro jak matka to zoboczyła to jak nie wzina go łoić a krzyczeć, to niech ręka bosko broni...

...Co ty bydziesz łaził po obcech ludziach i patrzoł żeby ci jeść dowali, czy sie w domu nie naisz?! I tak go płazowała pięściom łeb nie łeb, a on nic jeno krył sie po kontach i bronił swoigo placka.

W chałupie rozbeczało sie wszystko jak w owczarni, bo obudziły sie wszystkie dziecioki i jeden bez drugigo wrzeszczoł jaż sie cało chałupa trzensła. Jak Stasia przyleciała od doju to tak sie przelenkła, że bęcła przez próg jak długo i wylała wszystko mliko z kubełka... Oj, dostało sie tyż nieboroczce, dostało...

A łociec jakby nigdy nic, już był na wpół obleczony, patrzoł w lusterko, podkręncoł wąsa i... śmioł

---

*) błyszczące żołnierskie guziki.

sie som do siebie. Ale bo sie tyż dziś wystroił: na długiech spuszczanech butach zwiszały mu sie szyrokie sukianne portki, kaftonek leżoł obcisło na buroczerwony jace, biały kołnierz koszuli wywinył na czornom, niedwabnom chustke, oposał sie szyrokim czerwonym pasem a naodzioł sie cięźkim grantowym płaszczem, to jak kapalusz wsadził na bakier, to... chocioż nie zaduży był z niego chłop ale zgrabny, że i dzi jeszcze wartno sobie o nim wspomnić.

Nareście i matka sie wykrzyczała, i Stasia sie wypłakała; zaczyny sie obie myć i stroić, a niedługo, a już paradowały po weselnymu. Matka, w długi ciemnoczerwony sukni z szeleszczącym niedwabnym fartuchem u pasa, w wysokiech trzewikach, w szyroki kopce, owinięty w czerwonozłotom chustke na głowie, z korolamy na karku, wyglondała tak ładnie że napatrzyć sie na niom nimógem. Stasia, to już som niewim jak. Że to bodej pirszy roz miała być za druchne, to tyż matka jom tak wypińdaczyła, że nie do poznanio. W długim zielonkowatym spódniku z falbanamy, w biały, z długiemy rękowamy koszuli, w czorny z czerwonymy wypustkamy aksamitowy sznurówce, w korolach na szyroki kryzie. Jak to wszystko oblekła to tak sie napstroszyła, że wcale niechciała na nos dzieciokÓw patrzyć.

A tu jak sie do ni zleciały dziewuchy, jak zaczyny ij warkocze upinać a włosy czesać i pomadować, to gdzie tam dzisiejszym dziewuchom, sie z niom zmierzyć... Jak była już wyczesano, to głowe owiązała sobie czerwonom karbowanom wstonżkom, na niom założyła zieleniuchny wionek a wstęgi od niego rozpuściła na całe plecy... Hej, to dopiro była z nij druchna!...

A jak już była ustrojono, to przyszed po niom wikarskiech Stachu. Przyszed, pocałował ojca i matke w ręke, a ona sie tak jakoś ładnie do niego śmiała, przypina mu do czamarki stonżeczke i kwiotek. On coś do ni godoł, potem wzion jom za ręke i zaprowadził na wesele... a za nimy poszli łociec i matka.

Poszli sobie wszyscy na cały dzin, nos dzieciokÓw łostawili samech w chałupie. Co prowda, to Jaśku — że to był nojstarszy — mioł dawać na nos boczynie, ale ten jak wylecioł, tak sie nie pokozoł, jaż z kościoła nieprzyjechali...

Jo tam nimoge mówić żebym sie nudził. Wgramoliłem sie na stołek, ze stołka na stół, ze stołu na okno i... widziołem wszystko, co sie na weselu robiło.

A było tam na co patrzyć: Nojprzód zaczyny zaiżdżać fury po śtyry konie. Fornole tak wystrojone jak ci na weselu, a konie, baty wszystko ustrojone stążkamy, a co chtóry nadjechał to walił z długigo bata, jak z pistulita. Wszystko wyleciało na wieś i zaczyni siadać na fury. Na pirszy wóz wpakowali sie grocze z basamy i druchny, a wszystkie postrojone jak jedna. W środku miedzy nimy usiadła Ojczynaszów Marysia — mówili, że to ona sie żyni. Ustrojono tyż była tak jak druchny jeno zamiost sznurówki to miała na sobie długom lelijowom sukniom, tak, jak kobity...

Na drugi wóz wsiedli młodziony w długiech czamarkach, a na trzeci, chłopy w kaftonach i płoszczach i kobity w kopkach... Zagrały skrzypce, zamruczały basy. Nojprzód ruszyły drużby — w długiech (z przepasanymy przez ramie ręcznikamy) czamarach, na koniach, za nimy jeden wóz za drugim. A wszystko wesołe, rozśpiwane, szczeœliwe... krzyczało tak jaż sie rozlegało. Drużby walili z pistulitów, fornole z batów, a wszystko klaskało w ręce, śpiwało, że jaż zimia dudniła za nimy...

— — — — — — — — —

...Jak długo tam na tym oknie siedziołem, niewiem. Pamientom jeno tyle, że jak matka wpadła do chałupy, porwała mnie całygo zesztywniałygo na ręce, Jaśka znowy zbiła na kwaśne jabko i sobie poleciała...

Tu już wszystko my sie myntli, pamientom jeno jak przez sen, że w chałupie było pełno ludzi, tończyli, jedli, pili, śpiwali... Widziołem tyż jak „panne młodom" czepili, jak zbirali na kopke, jak przez drużbów sobie podarunki posyłali; chłopoki dziewuchom, dziewuchy chłopokom... Że w poniedziałek to jeszcze chodzili po wsi, poprzebirani za żydów, za cyganów, za strzelców, za żołmirzy... ale, jak mówie to już wszystko tak my sie przypomina jak przez sen ..

— — — — — — — — —

Oj... bo minyło to wszystko jak sen... Dzisiej już nima tego prawdziwygo weselo... tech młodzionów rosłych jak świce... tech dziewuchów wesołech, szczęśliwech, roześmionych a czystech jak łza, w zielonech myrtowech wińcach... Tech kobitów spracowanech a chciwech zabawy... tech chłopów, tech czamarów, tech płoszczy ciężkiech a tak szyrokich, żeby dzisiej dziesińć takiech chuchradeł pod jednom polerynom zmieścić sie mogło... Minyło to wszystko, zginyło jak sen... a z nimy razem, ginie pomalu i ta downiejszo wiara w siebie, a nawet i ta nasza starodawno mowa kujawsko...

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

A z tego wszystkigo pozostała jeno jeszcze ta staro chałupa. A jak długo ona jeszcze tu stoić bydzie tak długo bydzie ona gruchać ludziom i snuć starom te baśń nowem pokoleniom: i o drużbach na koniach, o młodzionach w czamarkach, o druchnach w myrtowech wionkach i... o kobitach w szyrokiech kopkach i chustkach niedwabnech...

I o żylastech chłopach wywijajoncych kosamy, w zbożu, od boku do boku...

O wesołach, o chrzcinach, na którech całe wsie razem sie bawiły; o podkoziełkach, dyngusach... o... smentnech letaniach i o pieśniach śpiwanych w czasie Dużygo Postu...

— — — — — — — — —

A może kiedyś i na te chałupe przydzie kryska. Może na jei miejscu postawiom jakieś wychuchrane, drewniane pudło, i powiedzom, że to jest — Kujawsko chałupa!

...Niedej Boże, tego doczekać...

Teodor Tałuna:

STANĘ WŚRÓD KWIATÓW...

Stanę wśród kwiatów rosnących tuż przy mnie,
Podam im rękę i kolana zegnę,
A usta stulę w kolorowym hymnie.
I tam pobiegnę...
Gdzie czarno cięte, malowane skiby,
Siewcy podadzą długie brózd klawisze,
Gdzie nieśmiertelny akord grają żniwa,
Człowiek dnie skuwa w robocze swe tryby.
I baśń o chlebie złotem ziarnem pisze,
Pacierze szepce i pomsty przyzywa...
Gdzie czarne grudy człowiek krwawi bosy,
Zagon zaklina w bujne złote kłosy,
Gdzie twardym pługiem swe troski wrył w ziemie,
By z niej wydzierać milionów ziarn brzemię.

Tam będę zbierał nabrzmiałe krwią grudy,
Obsiadłe troską po miedzach kamienie.
Wplotę w koronę człowieka trudy —
Wysoko w błękit wyrzucę sklepienie.

Alfred Kowalkowski:

PRZEKRÓJ PSYCHIKI WIELKOPOLSKIEJ

Cóż można wiedzieć o kulturze ziem zachodnich, zwłaszcza Wielkopolski, nie znając dobrze charakteru autochtonów, nie zagłębiwszy się uprzednio w psychikę przeciętnego obywatela, który nadaje ton środowisku? — Kultura przecież jest nieodłącznym składnikiem życia codziennego, a o formach zbiorowego bytowania decyduje wypadkowa dyspozycji psychicznych poszczególnych mieszkańców danej ziemi, i to dyspozycji, w ogromnej mierze modyfikowanych przez warunki zewnętrzne, do których trzeba życie naginać, gdyż nie zawsze warunki te dadzą się tak łatwo zmienić i dostosować do życzeń człowieka.

Wbrew wszelkim przeciwnikom dzielnicowości należy przyjąć za pewnik istnienie znacznych różnic między umysłowością Wielkopolanina a jego rodaka z innej części Polski. Nie ma w tym niczego złego, bo obydwaj mają jeszcze zbyt wiele cech wspólnych, by nie mogli żyć obok siebie w najlepszej harmonii. Dopiero wyszukiwanie tych różnic, podkreślanie ich, zamiana ich w łatwy chwyt demagogiczny, wyzyskiwanie tego stanu rzeczy do swoistej polityki waśnienia, — jest w najwyższym stopniu szkodliwe Ale — abstrahując od subiektywnego traktowania przedmiotu — musimy zgodzić się, że różnice takie nawet istnieć powinny, tak samo, jak w dużej mierze odmienna być musi psychika mieszkańca wsi i miasta, jak odmienne są — choć już nie w tym stopniu — umysłowości reprezentantów tych samych grup społecznych, uprawiających jedynie inne zawody.

Oczywiście — niewola pogłębiła różnice między mieszkańcami poszczególnych zaborów, tak, że mogły na tym tle powstawać dysonanse, ale wszelkie wybujałości zacierają się zwolna ze względu na istnienie tylu łączących i zbliżających czynników, a także na skutek stałej fluktuacji i wzajemnego przenikania się elementów z różnych byłych zaborów. Muszą jednak pozostać pewne specyficzne cechy duchowe, nieodłączne od charakteru ziemi, od stosunków społecznych i ekonomicznych. Cechy te często stają się właściwe nawet przybyszom, gdyż — mimo wszystko — i oni naginają się do utartych już tutaj form życia.

Mówimy tu o Wielkopolsce i o większej części Pomorza, tej części, która obecnie nic prawie nie ma jeszcze wspólnego z morzem. Z jednej bowiem strony przemysł i górnictwo, z drugiej morze zmodyfikowane i modyfikuje charakter człowieka. Lecz pośrodku, zwłaszcza na rozległych równinach Wielkopolski, rozwinęło się życie inne, proste, nieskomplikowane, nie nastręczające człowiekowi niespodzianek, wymagające jednak ciężkiego, codziennego wysiłku. Stąd stałość charakteru, hart i wytrwałość, zamiłowanie do porządku i spokoju. Ludność jest przeważnie rolnicza, a ziemia z wyjątkiem Kujaw nie daje zbyt bogatych plonów. Trzeba więc zapobiegliwości, oszczędności, a przede wszystkim pracowitości. Toteż rolnik, skazany na całodzienną pracę w polu, pozostając często samotny, staje się mrukiem, ważącym każde słowo, staje się mniej towarzyski, ale jednocześnie zna cenę słowa i wartość zbiorowości oraz wspólnego wysiłku. I znowu ciekawe cechy wtórne: mniejsze zamiłowanie do literatury, a jednocześnie ogromne przywiązanie do języka ojczystego, następnie zmysł współdzielczy, przy pełnym szacunku dla wszelkiego indywidualizmu.

W środowisku, gdzie nie spala się na ogół energii na jałowe spory, kult pracy a jednocześnie monotonia krajobrazu sprzyja charakterowi kontemplacyjnemu, a przy tym odrywa myśl od ziemi, budząc zamiłowanie do metafizyki i nieskomplikowanej filozofii, znajdującej sobie ujście w usposobieniu religijnym. Tak zrodziła się wielka pobożność mieszkańców, przywiązanie do kościoła. W literaturze, zwłaszcza w poezji, w nielicznych wypadkach pojawienia się rzetelnego poety, takie usposobienie zyskiwało przeważnie szczery wyraz. Wystarczy tu tylko wspomnieć na dowód, że od Kasprowicza prowadzi linia najzupełniej prosta bezpośrednio do czołowych przedstawicieli obecnej poezji wielkopolskiej. Inny typ — to Przybyszewski, schyłkowiec niespokojny i nieopanowany, który odbiegł od swego środowiska, na dnie jego metafizyki kryje się jednak typowe dziedzictwo duszy wielkopolskiej.

Niewielkie uroki i monotonia pejzażu ziem zachodnich nie sprzyjają rozwojowi malarstwa, a łatwo popychają do szkodliwej manieryczności. Za to muzyka znajduje pełne zrozumienie, zarówno ze względu na swą irracjonalność, jak i wartości rytmiczne.

W twardej walce o byt budzi się zrozumienie dla spraw nauki i oświaty, może większe, niż gdzie indziej. Niekorzystne warunki w czasach niewoli i brak uniwersytetu w ogromnej mierze przeszkadzały takiemu garnięciu się do nauki, dbano jednak przynajmniej o poziom przeciętny.

W atmosferze walki ekonomicznej z zaborcą rodził się przemocą zmysł praktyczności, stale kłócający w człowieku jego prawdy i poglądy metafizyczne. Stąd też odsuwanie się od poezji, od poezji własnej duszy, budzenie się zwątpień i ciężkimi doświadczeniami wywołanego sceptycyzmu. I teraz jeszcze prosty człowiek rozumie bardziej nowocześnie pożytek nauki i sztuki stosowanej, niźli naukę ścisłą i teoretyzowanie lub hasło „sztuka dla sztuki". Bo wszelka mądrość, odbiegająca często od prawd religii budzi w nim niedowierzanie — i patrząc w niebo będzie myślał tylko o Bogu i nie chce nic wiedzieć o tym, że są ludzie, którzy sprawdzają boskie dzieła, potrafią mierzyć odległość, badać skład chemiczny gwiazd. Bo — myśli — może są to tylko wymysły uczonych, którzy przecież muszą wykazać się jakimiś wynikami pracy, jeśli nie chcą jeść darmo chleba? Na dnie tego zjawiska leży konserwatyzm, właściwy każdemu rolnikowi, bo trzeba jeszcze pamiętać, że nawet w mniejszych miastach ludność jest przeważnie rolnicza, że właściwy stan mieszczański tworzą również niedawni włościanie i że obecni rzemieślnicy, robotnicy, często kupcy, a nawet przemysłowcy, jeśli nie w tym, to niemal na pewno w poprzednim pokoleniu gospodarowali jeszcze na mniejszych lub większych połaciach ziemi.

A drugą przyczyną jest fakt, że oświatę polską i często wysokie wartości kulturalne krzewili tu księża, utrzymujący lud w niezachwianej wierności przy wierze przodków, co jednocześnie skłaniało go do wszelkiego tradycjonalizmu. Bo nie mogło być inaczej, nie mogło być innych krzewicieli polskiej myśli, gdy tylko seminaria duchowne były polskie, a Polacy, nawet kształceni na niemieckich uniwersytetach, najwyżej mogli w Wielkopolsce poświęcać się wolnym zawodom, lub też zmuszeni byli emigrować.

Dlatego wszelka nowość zwana tu bywa „nowinkarstwem", nowe prądy spotykają się z podejrzliwością, dlatego nawet autentyzm, ostatnio popularyzowany kierunek literacki, czy nawet prąd kulturalny, nie poczynił należytych postępów, choć wyrósł ze zmysłu praktyczności i zamiłowania szczerości.

I tu dochodzimy do źródeł jedynego, lecz jakże poważnego paradoksu

życiowego tutejszego człowieka: nieubłagany dzień powszedni przytłumia wzloty ducha, a ziemia i przyroda budzą z powrotem ducha z uśpienia, dlatego istnieje żądza poznania prawdy i zarazem odrzuca się wiele elementów postępu.

Jakże przytłaczające w ignorowaniu wszelkiej logiki jest ta inna logika najbardziej autentycznej rzeczywistości!

Stanisław Bogdan Wojewódzki:



„JEZIORO JANIKOWSKIE"

Józef Brzeziński:

WSPÓŁCZESNY WIELKOPOLSKI ŚWIĄTKARZ

Tradycja świątkarstwa utrzymuje się we Wielkopolsce do osiemnastowiecznego Walentego z Grabonoga począwszy i zastępu innych nieznanych nam już dzisiaj snycerzy. Utrzymuje się poprzez następców majstra Walentego, snycerzy ziemi ostrowskiej, gostyńskiej, kościańskiej, śremskiej, jako poszczególne ogniwa łańcucha ludowej twórczości o charakterze pewnego sprymitywizowania i specyficznej deformacji plastycznych form kultury ogólnej i oficjalnej ikonografii. Ogniwa te powstają najczęściej w wyniku utylitarnego celu, społecznej konieczności. Spotykamy w ludowej rzeźbie, tak samo jak w całej ewolucji form plastycznych kultury ogólnej, pewne formy zanikające bezpowrotnie, ginące wskutek wypierania ich najczęściej tandetą fabryczną; inne odradzające się we formach pokrewnych tamtym tradycyjnym, przystosowane jednak najczęściej do czasu i miejsca powstania oraz przeznaczenia. W tych właśnie formach odradzających się, w tych często luźnych pokrewieństwach formom przedwiecznym (nie w tych, które wymierają, bo zatracają dziś swoje celowe znaczenie) utrzymuje się tradycja snycerstwa ludowego. Nie będzie dzisiaj postaci Chrystusa na krzyżu przeznaczonym nad drogę rzeźbił świątkarz, jeżeli ją najczęściej zastępuje się towarem kupnym. Trzon krzyża jest dziś zupełnie gładki, odpada więc ozdabianie go we wnęki z postaciami Świętych. Tym zdąża się do zaniku świątkarstwa ludowego i rozszerzenia szpetoty fabrycznej.

Rzeźbiarzem ludowym, który prowadzi dalej tradycję snycerstwa prymitywnego, jest żyjący dziś jeszcze kołodziej z Karchowa Andrzej Majchrzak, gospodarujący jako rolnik na kilku morgach ziemi. Już od najmłodszych lat strugał chodząc za pasącym się bydłem, a jako kołodziej z zawodu stawiał dom czy wrota gospodarskie, sprzęty czy meble, wszędzie indywidualne cechy zdobniczych motywów zostawiając. Aż doszedł do rzeźby figuralnej, celu swej drogi, wysiłku i przeznaczenia. Od postaci Kościuszki aż do dzisiejszych jego figur droga daleka. I kto wie czy nie poszedłby drogą banału, gdyby na drodze nie stanął świerczyński proboszcz ks. Świderski i Stanisław Helsztyński. Wykonanie figur przy bramie kościelnej w Świerczynie w miejsce zniszczonych polecił proboszcz swemu parafianinowi z Karchowa. Helsztyński stał się opiekunem duchowym Majchrzaka, inspiratorem i inicjatorem licznych jego prac. Dom rodzinny Helsztyńskiego w Kosowie stał się muzeum sztuki ludowej i dzieł Majchrzaka. St. Helsztyński nie tylko opiekunem duchowym Majchrzaka został, zamawiając świątki dla powstającego muzeum, kościoła w Starym Gostyniu i grobowca rodzinnego, ale i pni topolowych dostarcza i na farbę dla polichromowania figur łoży. Nie można by zrozumieć dorobku snycerskiego Majchrzaka, nie uwzględniając w całej jego twórczości duchowego opiekuństwa Stanisława Hesztyńskiego.*)

Kościół parafialny w Świerczynie posiada pierwszy zbiór prac

---

*) Dr Helsztyński dawał szczegółowe przeglądy ostatnich prac majstra Majchrzaka w „Kronice Gostyńskiej". „Następca Walentego z Grabonoga" w nr 6 serii V z dn. 1 sierpnia 1933 r.; „Nowe rzeźby ludowe Jędrosia Majchrzaka" w nr 10 serii VI z dn. 1 października 1934 r.; „Zimowy plon prac majstra Majchrzaka" w nr 9 serii VII z dnia 1 września 1935 r. Ostatnio zamieścił w nr 79 „Kultury" pracę „Religijne rzeźby A. Majchrzaka".



Bł. Jolenta rzeźba Majchrzaka

Majchrzaka. Z 1908 roku figury św. Piotra i Pawła przy bramie kościelnej z dwoma aniołami po bokach, oraz dwa feretrony z 1931 r. Na szczególną uwagę i podkreślenie zasługuje feretron Wniebowzięcia Matki Boskiej. W tym właśnie feretronie tkwi cała istota ludowego świątkarstwa Oprócz prymitywnej deformacji figury o cechach naśladownictwa podświadomego współczesnych typów ikonograficznych zaakcentowany jest przede wszystkim pewien sens moralny wpleciony w bogatą fabułę (literaturę) skomponowanej całości. Kompozycja feretronu w jego sensie moralnym przedstawia moment zerwania z doczesnością. Okres powstawania tych feretronów cechuje jeszcze u Majchrzaka tak niebezpieczne u świątkarstwa ludowego realistyczne ujęcie kompozycji, które często prowadzi snycerzy do tworów chybionych. Ten realizm form występuje szczególnie jaskrawie w kompozycji „Św. Jerzy w walce ze smokiem" z r. 1931.

Późniejszym cyklem jest dwunastu polskich Świętych na stallach presbiterium kościoła starogostyńskiego. Majestatyczne postacie w szczegółowym opracowaniu ikonograficznym według dostarczonych wizerunków stoją po obu stronach ołtarza. W szeregu figur do najdoskonalszych w potędze wyrazu i ekspresji należy św. Andrzej Bobola, św. Józefat Kuncewicz natomiast w charakteryzacji psychologicznej przedstawianej postaci.

„Pochód Świętych" wykonany został dla domu rodzinnego dra Helsztyńskiego w Kosowie. Rozpada się na pochód Św. patronów rodziny Skorupków i pochód świętych patronów zmarłych członków rodziny Skorupków i Klupsiów. Pochody zmierzają do krzyża jako kompozycji centralnej zdobionej jeszcze u podstawy w dwa symboliczne słoneczniki. Pochód zamyka z jednej strony kościotrup z kosą w ręku, na którego wali się przydrożny krzyż, z drugiej strony nieznane ogniwa pochodu zamyka Adam i Ewa. Na uwagę zasługują postacie Adama i Ewy, akty analogicznie z realizmem prymitywnym oddane, Zuzanna z wkomponowanymi w pień drzewa twarzami podpatrujących starców oraz fantastyczny kościotrup. Postacie cechuje swoboda w komponowaniu i trawestacja opracowania poszczególnych figur według ikonografii kościelnej.

Potężnym dziełem Majchrzaka są cztery figury (110 cm) przeznaczone do presbiterium kościoła w Starym Gostyniu, św. Cyryl i Metody i św. Piotr i Paweł. Są to jedne z najwięcej ekspresyjnych figur Tutaj, skupiła się chyba cała dynamika twórcza wielkopolskiego świątkarza. Faktura figur uwydatnia się na tych postaciach szczególnie wyraziście. Cechą tej faktury jest szczegółowe opracowanie rąk, układ włosów w ich symetrycznym rozmieszczeniu oraz bogate sfałdowanie szat.

W dorobku Majchrzaka znajduje się z roku 1935 jedna Boża Męka „Wzgórze śmierci" w zagrodzie gospodarza Skorupki w Kosowie. Uwagę zwracają postacie dwóch łotrów wrzeźbionych w trzon bocznych krzyży z twarzami oddającymi ze zgrozą cechy psychiczne ludzi zbrodniarzy.

Trzecim cyklem figur, wykończonych w tym roku wraz z polichromią, jest dwunastu apostołów ze zmartwychwstałym Chrystusem, przeznaczonych do grobowca rodziny Skorupków i Helsztyńskich w Starym Gostyniu. Postacie (około 65 cm wysokości) są polichromowane według fantazji autora. Kompozycją figuralną o kilku wątkach opracowanych ściśle według ikonografii jest św. Izydor Oracz, znajdujący się koło torfowisk między Kosowem a Starym Gostyniem.

Układ kompozycji wzięty jest ze znanych powszechnie ilustracyj jak z Przewodnika Katolickiego.

Ostatnim bodajdziełem Majchrzaka jest poza oczywiście sprzętami gospodarskimi kompozycja figuralna św. Józefa oraz figura bł. Jolenty. Św. Józef jest kompozycją własną Majchrzaka bogatą oczywiście we fabułę i sens moralny całości. Figurę bł. Jolenty wykonano według ilustracji z karty tytułowej książeczki Salezjanów „Kłosy z Bożej roli" t. 4. Nastąpiła tutaj trawestacja całej postaci. Szata zakonna mniszki została przez Majchrzaka zmieniona w płaszcz odkryty z przodu z rękoma wzniesionymi jakby do błogosławieństwa. Zmiana ta w stosunku do ilustracji nastąpiła prawdopodobnie wskutek niezrozumienia postaci bł. Jolenty z ilustracji w trabicie z krzyżem w obu rękach, wzniesionych do modlitwy. W tych trawestacjach form i pastaci tkwi cecha prymitywnego ludowego świątkarstwa. Majchrzak przy silnym wyczuciu bryły i płaszczyzny liczy się ze statyką. Częstokroć jednak nieświadomie zdąża do ujęcia swoich świątków czy pewnych fragmentów kompozycyjnych. Nie jest to realistyczne traktowanie cechą istotną wielkopolskiego świątkarstwa, a raczej jest nią podkreślona stylizacja typów z wysuniętym na pierwszy plan sensem moralnym, oraz stagnacja i nieewolucyjność w jego sposobie cięcia. Poprzez całą drogę od Świerczyny



Św. Józef rzeźba Majchrzaka

do Kosowa i Starego Gostynia oraz św. Izydora ten sam sposób ujęcia bryły, płaszczyzny i stylizacji. To samo cięcie drzewa, które nie uległo najmniejszym ewolucjom od czasów świerczyńskich aż do dziś dnia cechuje cały dorobek snycerski tego z Bożej łaski świątkarza z Karchowa.

Adam Czartkowski:

STACH I DUCHA

Przeglądam świeżo wydany tom I. „Listów" Stanisława Przybyszewskiego i staje mi w pamięci chwila, gdy w piękny ciepły dzień kwietniowy przed 36 laty (1901 r.) na Nowym Świecie w pobliżu dawnej „Nadświdrzańskiej" (róg nowego Świata i Al. Jerozolimskich, gdzie dziś stoi wielki gmach Banku Gospodarstwa Krajowego) zostałem przedstawiony Stanisławowi Przybyszewskiemu i jego żonie Dagny z domu Juel. Przeszliśmy razem aż pod Nr 7-y przy ul. Książęcej, gdzie mieściła się wówczas redakcja „Chimery", rozmawialiśmy trochę, ja więcej słuchałem i obserwowałem.

Byłem wówczas słuchaczem pierwszego roku wydz. przyrodniczego na Uniwersytecie, wchłaniałem jednak całą duszą ten wielki prąd modernistyczny, który ogarnął w tym czasie świat młodej literatury i sztuki plastycznej w Polsce, i należąc do kółka kilku entuzjastów oscylujących w około „Chimery", na równi z całą niemal młodzieżą warszawską korzyłem się przed takimi koryfeuszami modernizmu jak Przybyszewski. To też z wielką radością ale i nieśmiałością zarazem szedłem wraz z Przybyszewskim i tymi, którzy mnie mu przedstawili. „Mistrz" nie podbił mego serca swym wyglądem, natomiast pani Dagny, obok której szedł 6-letni synek (Zenon, obecnie dyr. depart. w min. spr. zagr. w Sztokholmie) i dreptała czteroletnia córeczka (Iwa, obecna bar. Bennetowa), wywarła odrazu wrażenie niezwykle sympatyczne i pociagające.

Była średniego wzrostu, miała dość dużą nogę i rękę, nie była też tak zgrabna w ruchach, jak nasze warszawianki, uderzała jednak swą kształtną głową, regularnymi rysami, pięknymi włosami z miedzianym połyskiem, głębokiem wejrzeniem swych fiołkowych oczu (dosłownie!) patrzących z pod ciężkich powiek i uśmiechem pełnym dobroci i łagodności.

Wrażenie to utrwaliło się po kilku następnych spotkaniach i bardzo zresztą krótkich rozmowach...

Pamiętam pogrzeb poety Stanisława Korab Brzozowskiego, sekretarza „Chimery", co wkrótce potym w końcu kwietnia życie sobie odebrał; podczas transportacji trumny ze zwłokami Jego z dawnego prosektorium przy ul. Zgoda (gdzie obecnie stoi dom Gebethnera i Wolffa) na Powązki, a więc przez blisko godzinę miałem możność obserwować i roniącego łzy Przybyszewskiego i poważnie kroczącą obok niego p. Dagny...

Pamiętam też to wstrząsające wrażenie, kiedy w pierwszych dniach czerwca tegoż roku rozeszła się po Warszawie wiadomość o zastrzeleniu w Tyflisie Dagny Przybyszewskiej przez Emeryka, wysokiego, chudego blondyna, słuchacza Uniw. Jag., którego również w otoczeniu Przybyszewskich widywałem i poznałem...

Dużo po tym i słyszało się i czytało o p. Dagny, w pamięci mej pozostały jednak dotychczas i fiołkowe wejrzenie jej oczu i pełen dobroci i łagodności uśmiech, co krasił jej usta. I nie zatarły tego obrazu tragicznie zmarłej kobiety żadne, mniej lub więcej sensacyjne wiadomości o niej, spotykane w literaturze pamiętnikarskiej niemieckiej i szwedzkiej, a nawet oświadczenie samego Stanisława Przybyszewskiego, zaprzeczające jakiemukolwiek wpływowi jej na niego.

Przed kilku laty Boy-Żeleński w swej książce „Ludzie żywi" (Warszawa 1929) w szkicu p.t. „Kłamstwo Przybyszewskiego" (str. 26—49 i Przypisy — str. 227—258) z właściwym mu talentem, znawstwem ludzi i intuicją, jak również na zasadzie odpowiednich dokumentów dokonał rehabilitacji Dagny Przybyszewskiej i starał się wykazać, że właśnie ona była „muzą najpiękniejszych pieśni", „muzą okresu twórczego, bohaterskiego" Przybyszewskiego, że „wycisnęła ślad niezatarty" na jego twórczości z lat 1892—1899, że „rola jej w twórczości Przybyszewskiego była ogromna".

I oto świeżo wydany zbiór listów Przybyszewskiego z lat 1879—1906 całkowicie potwierdza te tezy Boya-Żeleńskiego.

Donosząc Adolfowi Paulowi o swej noweli „Requiem", pisze z Berlina w kwietniu 1893 r: „Widzisz — ja kocham to, jako moją nową fazę ewolucji, w którą wszedłem teraz i za którą muszę być wdzięczny jej — Dagny Juel — mojej Dagny".

A w liście z kwietnia—maja 1893 r. tak ją wielbi:

„...Wszystko to, co stanowi nieświadome sprężyny mego działania, co było wielką tajemnicą mej duszy, to ona wydobyła — w niej wciela się tajemnica mej duszy, ona, widzisz, jest moją najwyższą duchową i estetyczną radością. Zaczęło się dla mnie całkiem nowe życie, stałem się głębszy, intensywniejszy, świadomość moja wzbogaciła się o te wszystkie siły i możliwości, których przedtem nie znałem i które ona we mnie wywołała. Wiele było w mej duszy pisane atramentem niewidocznym, trzeba to było tylko odegrzać a stanie się czytelne. To właśnie sprawiła ona, dla tego kocham ją jak wielkie dzieło mej przez nią narodzonej duszy... Jest dobra, bardzo dobra, nigdy nie przypuszczałem, że ma tak niezwykłe głębie jaźni. O, zawdzięczam jej szalenie wiele"...

Podobnie zwierza się Franciszkowi Servaesowi koło 18 września 1893 r.: „Pisarz został na szczęście uratowany we mnie. Zawdzięczam to kobiecie z „Totenmesse", a mianowicie mojej żonie"... Kocha ją też i uwielbia miłością jasną, radosną, promienną. A gdy Dagny wyjeżdża do Norwegii, pozostawiając go samego w Berlinie, tęskni za nią niewymownie.

„Odczuwam szaloną tęsknotę za moją żoną, która musiała pojechać do rodziców do Norwegii (z listu do E. Bochazki z dn. 6 maja 1896).

„Żona wyjechała do Norwegii, to dla mnie przykra rzecz, bo strasznie tęsknię i całkiem równowagę tracę, a jestem zmuszony przez jakie dwa miesiące w Berlinie pozostać (z listu do M. Szukiewicza z dn. 20 marca 1897 r.). „Bo strasznie tęsknię. Ciupa alias Ciula, Ducha, Duch, Dula, Duluniek — musiała pozostać w Norwegii; przyjedzie do mnie dopiero w październiku. Zrobiłem wprawdzie z niej sukuba (vide 1 rozd. w „De profundis"). — Ale na dnie, gdy się masy rozprysną, to do zwariowania" (z listu do tegoż z dn. 27 lipca 1897 r.).

I cieszy się z całej duszy, gdy ma powrócić do niego. W liście z dn. 7 listopada 1897 r. do Ernesta Prochaski, redaktora „Moderni Revue" w Pradze, pisze:

„Jedyne szczęście, że żona moja po 4½ miesięcznej rozłące znów do mnie powraca. Zupełnie ginę, to strasznie tak zrosnąć się z człowiekiem. A ona jest dziwnie piękna i ma dziwnie szlachetną duszę. To ona jest w „Am Meer", i ona znów w „Epi psychidionie"— zawsze ona, ona, ona... Cztery miesiące byłem porażony. Nic nie robiłem. Nie mogłem ani razu napisać listu. Teraz już lepiej. Gdy ona do mnie przybędzie, będę również pracował, dużo pracował".. A w liście z dnia 1 grudnia 1897 r. do teścia dra Jana Lemicka Juela czytamy: „Jestem bardzo nerwowy, ale to dlatego, że Dasi przez 6 miesięcy wcale nie widziałem, a to jest dla mnie straszne, ponieważ bez niej nie mogę żyć i wtedy bardzo cierpię Lecz gdy ona jest przy mnie, wtedy jest wszystko dobrze"...

A gdy we wrześniu tegoż roku dowiaduje się o tem, że Dagny po porodzie córeczki Iwy jest niemal w agonii, szaleje z niepokoju i niemożności wskutek braku pieniędzy pojechania do niej.

„Właśnie otrzymuję wiadomość, że Ducha po ciężkim porodzie z operacją leży niebezpiecznie chora. Jest to też i moja zguba" — pisze do Idy Auerbach dn. 8 września 1897 r. „Pan nie wie, co to znaczy być do kogoś najdroższego wzywany w śmiertelnej chorobie" — kreśli do Alfreda Mamberta 12 października tegoż roku: „Wiem zaś, że gdybym mógł do niej przybyć, gdybym tylko ręce jej mógł objąć, gdybym tylko mógł w swoje ręce wziąć jej złotą główkę, zarazby wyzdrowiała... Obecnie oczekuję w tępej rezygnacji, co się tam dzieje. Śmierć mojej żony jest moją śmiercią.. Gdyby Pan znał wyżyny, które ona ze mną przeżyła, przekrwawiła, uważałby Pan me serce za surowe i bezwstydne, gdybym chciał żyć bez niej. W ostatnich mękach oszalałem też zupełnie i dusza moja skonała. Życie moje tak czy owak już nie było zdolne do dalszego trwania"...

Gdy jest z Dagny, promienieje z radości, odżywa u boku żony, w otoczeniu dzieci:

„Siedzimy teraz w Kopenhadze, nie wiemy co robić, lecz jesteśmy szczęśliwi, bo jesteśmy razem. Jest to niewypowiedzianie piękne" — doni Idzie Auerbach - Dehmlowej dn. 4 czerwca 1896 r, „Żona moja jest, jak Wam wiadomo" — pisze do rodziców w końcu czerwca tegoż roku: „córką słynnego lekarza dra Juela z Kongsvinger. Żyję z nią od prawie trzech lat i pożycie nasze niezwykle szczęśliwe. Podziwiam ją, jak była w stanie przywyknąć do takich stosunków, w jakich ja żyję. Pretensyj nie ma żadnych, zgoła żadnych. Nieraz ze mną głód przecierpiała, wogóle wiele zniosła, bo ja jestem bardzo nerwowy, a jak pracuję, to ze mną nie do wytrzymania. Wszystko robi. Gdyśmy mieszkali w Pankaer, to gotowała przez trzy miesiące i nigdy lepiej nie jadałem... Przytem wysoce muzykalna"... „Czasami jestem bardzo zrozpaczony, dzisiaj nie. Dziś spotkałem przyjaciela, który mnie bardzo kocha. Dzisiaj siedziałem parę godzin z moim „Epi psychidionem", z moją Dagny i grałem w karty", a teraz piszę do Pana" — kreśli w liście do Alfreda Mamberta z Berlina w dn. 7 stycznia 1897 r.: „...A teraz, Najukochańszy. co mam najdroższego, głupi mały podarek, moją Duchę z jej dzieckiem, z moim dzieckiem. Jestem w nich obojgu"... „Dasia serdecznie Was wszystkich pozdrawia. Wróciłem do niej po dwumiesięcznym rozłączeniu przedwczoraj" — czytamy w liście do A. Nowaczyńskiego z Kongsvinger z dn. 7 maja 1897 r.: „Nigdy mi się piękniejszą nie wydawała i nigdy jej więcej nie kochałem"... A w liście do rodziców także z Kongsvinger z dn 30 maja tegoż roku: „W całem życiu mojem nie czułem się tak spokojnym i tak szczęśliwym, jak właśnie teraz. Pożycie moje ze żoną jest tak niezwykle szczęśliwe, że wątpię, czy drugą taką parę się znajdzie. A przecież w miodowych miesiącach nie żyjemy, bo trzy lata ubiegły odkąd się pobraliśmy"...

Bogdan W. Zakrzewski:

BALLADA O KOTCE I ZŁYM CZŁOWIEKU

Na strychu kotka miot odbyła:
cztery różowe, ślepe ciepłe.
Z ciszy pęczniały jej wymiona,
na wargach mdliło mleko skrzepłe.

Raz w noc nietoperz zaszeleścił,
że przyjdzie człowiek-kat na dzieci.
Nim miesiąc przebił sierpem okno,
została sama wśród rupieci.

Oczy jej smutkiem zaropiały,
budziła w płaczu stare lalki:
czy nikt nie widział kociąt białych.
A noc pukała kasztanami...

Na dachu pluła w twarz księżyca,
drąc liście pazurami.
Kochanek wabił cienkim głosem,
biegnąc do innych samic.

Nie dla niej grały liście
i pachniał sad płakami.
Czekała na ich przyjście,
jakby powrócić śmiały.

A w tym, gdy noc na brzegu
łowiła żabie śpiewy,
kotka ujrzała w biegu
cztery różowe trupy.

Spały sitowiem wykarmione,
kołysząc się na wodzie.
A żabi chór wciąż wrzeszczał:
utopił je pan-złodziej.

I poszła w świat ozimin,
drąc się o kolce głogu.
Przyjęła ją dolina niema
i ciepło śniadych stogów.

Trzy zaś listy do Dagny — z dn. 3 paźdz., z 4 listop. i 14 listop. 1897 r. — jedyne, które dochowały się do naszych czasów (reszta została spalona na polecenie Przybyszewskiego w 1906 r. przez jednego z jego przyjaciół, u którego były przechowywane) należą niewątpliwie do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek mógł do żony napisać.

„Ukochana, ...ach, jak tu trudno pozostawać z tą miłością i z tą tęsknotą. Ale przytem jestem tak niewymownie szczęśliwy z powodu Ciebie i dzieci — brak słów, co tu wycierpiałem z niecierpliwości i strachu w ostatnim miesiącu" — pisze z Berlina 13 paźdz. 1897 r: „Lecz teraz wszystko jest tylko radością, tylko szczęściem, tylko błogością... Cieszę się nieskończenie na Kongsvinger. Jak to będzie pysznie... Z jakim uczuciem szczęścia i beztroski będę mógł wówczas pracować. Dziwna rzecz, że ja tylko w Kongsvinger, mogę z całej siły pracować... Jakże się cieszę! Gdy przyjadę, to już zapewne wstaniesz z łóżka. Pomyśl Ciupa o naszych jazdach saniami, o naszym śmiechu, o naszym szczęściu przy pracy. O Ciup, jak mi serce drży i puka z radości!"...

Są to wszystko świadectwa z pierwszej ręki i niczem nie zafałszowane. Wszystkie te listy pochodzą z czasów kiedy nie znał jeszcze, ani się domyślał nawet istnienia innej kobiety— Jadwigi z Gąsowskich Kasprowiczowej, która według późniejszych enuncjacyj była jego istotną muzą. Nieprawdziwe więc są te oświadczenia, jakie o Dagny czytamy w przedmowie do „Krzyku", natomiast całkowitą pełną wartość ma epitafium skreślone jako wstęp do zbioru jej utworów wydanych w 1901 r. w Warszawie p. t. „Kiedy słońce zachodzi", a w którym czytamy: „Kobieta niezwykłej kultury i poczucia artystycznego, powierniczka najskrytszych moich intencyj twórczych, jedyny człowiek, który znał mój twór aż do dna, który nieraz wyłowił w głębi mej duszy, to co dla mnie samego było nieświadome"...

Niedarmo też nazywał ją pieszczotliwie — Duchą. Była jego dobrym duchem w szczytowym okresie jego twórczości — taką pozostanie nazawsze w dziejach literatury polskiej obok „Incomparabile Donna" Elizy Krasińskiej, żony Zygmunta, i Oktawii z Radziwiłłowiczów Żeromskiej, co dla piśmiennictwa i narodu polskiego uratowała twórcę „Ludzi Bezdomnych" i „Popiołów".

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE.

„Zagończyk" — Miesięcznik Młodzieży Polskiej. Rok XVIII. Styczeń 1938. Nr 1.

Jadwiga Korczakowska „Miłość Marty" Powieść Współczesna. Wydawnictwo Stefana Dippla w Poznaniu.

R. Braunngraber „Radium". Tłumaczył F. Naganowski. Wydawnictwo St. Dippla w Poznaniu.

Adolf Nowaczyński „Warta nad Wartą" Poznań — 1937. Nakładem Drukarni Polskiej Sp. Akc.

Knut Hamsun „A życie toczy się dalej". Przekład autoryzowany Czesława Kędzierskiego. Biblioteka Laureatów Nobla. Wydawnictwo Polskie, R. Wegner. Poznań.

„Posiew Poetycki". Rok I. Nr 1. Miesięcznik. Bydgoszcz.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski, Poznań, Słowackiego 48 6.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.